

ŚLEDZTWA MARYLI MAJOR

ELEMENTARZ ZBRODNI

NADIA
SZAGDAJ

BUKOWY LAS

Czarne, puste oko zimnej lufy wpatrywało się w czoło mężczyzny. Zza rewolweru para przenikliwych oczu gapiła się na niego z nienawiścią. W pokoju panował mrok. Rozpraszało go drgające od czasu do czasu światło latarni ulicznej. Żarówka w czarnym, „pancernym” poniemieckim kloszu zawieszonym na grubych drutach nad ulicą najwyraźniej się przepalała. Od wielu dni lampa błyskała tylko co jakiś czas, na krótko oświetlając bruk, to znów gasnąc, i wydawała przy tym cichy odgłos, przypominający odciągany kurek rewolweru.

Mężczyzna, w którego wlepione były wszystkie te ślepia, spał. Całymi dniami palił papierosy, chlał i darł się. „Śpiewał” – tak twierdził, gdy zwracała mu uwagę, żeby się opanował. Tymczasem jego repertuar był niezwykle wprost ubogi. Często zawieszał się na ulubionym słowie Polaków: „kurwa”, intonując je na wszystkie możliwe sposoby. A im więcej wody wyżyłopał, tym obrzydliwiej się wydzierał. Ostatnie „kurwa”, bynajmniej już nie wyśpiewane, dochodziło zazwyczaj z kibla, gdzie pod wieczór wyrzygiwał nadmiar alkoholu. Z ich wspólnej toalety, z której brzydziła się czasem korzystać.

Teraz zaś spał i chrapał tak głośno, że postawił ją na równe nogi. I to nie był pierwszy raz.

Lampa znów cyknęła i rozświetliła pokój. Gdyby go teraz zastrzeliła, nikt by się nie zorientował. Rozbłysk wystrzału zmieszałby się z tymi latarnianymi. Jej palec powędrował na spust. Potrzebna jej była tylko gruba poduszka, która choć trochę tłumiłaby huk. W ciemnościach niewiele widziała, ale podczas krótkich dostaw światła zdążyła doprecyzować cel i ustalić, że owszem, poduszka tkwi pod jego głową. Nawet by nie poczuł, gdyby mu ją zabrała, przyłożyła do twarzy i nacisnęła na spust. Zmarłby we śnie, czego większość Polaków mogła sobie tylko życzyć, biorąc pod uwagę dietę i styl życia, jaki wiedli.

Ile problemów mógł rozwiązać ten pojedynczy wystrzał! Koniec chrapania, darcia gęby, wieczornego okupowania łazienki, smrodu niemytego ciała i oddechu przypominającego odorem najgorszą wrocławską mordownię. Koniec kłótni i naciąganych, niesprawiedliwych pseudokompromisów. I fetoru wątplivej jakości mięsa, które gotował sobie na obiad niemal każdego dnia – nigdy, ale to przenigdy nie myjąc po tym naczyń, które zalegały w zlewic, dopóki sama się do nich nie zabrała.

Nie, nie musiałyby nikomu niczego zgłaszać. Stary wciąż byłby tu zameldowany. Wciąż byłby tym samym lokatorem, którego jedyna słuszna władza dokooptowała jej do mieszkania, choć zajęła je jako pierwsza w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym. W tym momencie, po raz pierwszy od sześciu lat, w końcu by pożyła! Odbierałaby jego milicyjną emeryturę i wreszcie miałyby całe mieszkanie dla siebie. Nikt i tak go nie odwiedzał, nikt o niego nie pytał.

Tylko co miałyby z nim zrobić? Porąbać i wynosić po kawałku czy zostawić tu, by zgnił? Wróciły do niej wspomnienia. Nie tak znów długo przed przeprowadzką do

Wrocławia przez kilka tygodni ukrywała się pod trupami wśród gruzów zbombardowanej Warszawy. I dopiero ta wizja nieco schłodziła palący ją gniew. Nigdy więcej nie chciałaby poczuć tego odoru ani gorąca bijącego od rozkładających się zwłok. Zawsze, kiedy w emocjach coś sobie wymyśliła – ucieczkę z tego kraju, zmianę pracy albo najlepiej tożsamości czy jak dziś, morderstwo współlokatora – orientowała się, że to zły pomysł. Albo po prostu niemożliwy do zrealizowania scenariusz. Porąbać i wynosić. Jasne...

Przesunęła zeszytniały palec ze spustu na lufę. Dopiero teraz zaczerpnęła powietrza. Zorientowała się, że prawie nie oddychała, snując mordercze plany. Zupełnie jak by zapomniała, jak się to robi. Dlatego właśnie korzystała z porad lekarza psychiatry. Nerwy nie służyły jej zdrowiu, a pani doktor pouczała ją, by przy atakach nerwicy zawsze pamiętała o głębokich oddechach. Zresztą... teraz, wspominając jej słowa, znów o nich zapomniała. Wypuściła powietrze z płuc z cichym sykiem. Ostrożnie zabezpieczyła broń. Było blisko. Pewnie bliżej niż ostatnim razem, gdy tak stała nad sąsiadem z wymierzonym w niego rewolwerem.

Opanowała się. Pozostało tylko odwrócić od jego czoła skierowaną weń lufę. Zwalczyła w sobie powracającą chęć ponownego odciągnięcia kurka. Niemal z bólem opuściła napięte ramiona i wycelowała broń w podłogę.

Cicho ruszyła w stronę drzwi. Stary zaciągnął powietrze z głośnym chrapnięciem i równie głośno wypuścił je drugą stroną.

– Daj spokój, Marylka. Idź spać – szepnęła do siebie pod nosem i pospiesznie wyszła z jego pokoju.

Zamknęła za sobą drzwi, żeby kolejny wyprodukowany przez niego pierd nie poniósł się na resztę mieszkania. Weszła do łazienki i przekreśliła ceramiczny włącznik w mało gustownym, czarnym kolorze. Nad lustrem rozblęła naga

żarówka. Jakiś pająk spłoszony nocnym zamieszaniem schował się pospiesznie pod umywalkę. Dziurawe, przepłukane na szybko gacie jej współlokatora suszyły się na sznurach rozciągniętych nad ich wspólną wanną.

Kiedy dziesięć lat temu skończyła się wojna, Maryla wierzyła, że teraz będzie już tylko lepiej. Ale się przeliczyła. Jej krajem rządzą rusecy. I mimo że ten ich „inżynier marzeń” zdechł, za jedno nieodpowiednie słowo na jego temat wciąż można było stracić życie. Do tego zamieszkała w obcym miejscu, nieprzyjaznym i iście niepolskim mieście, gdzie wciąż połowa ulic nosiła niemieckie nazwy. Nawet tu, w mieszkaniu, które od dwóch lat przymusowo dzieliła ze starym alkoholikiem, korzystała ze sprzętów, z których każdy nosił niemiecki napis. Czy ludzie, do których należały, zginęli w Breslau? A może uciekli z miasta, zanim stało się Wrocławiem... Nie wiedziała. Była skazana na Wrocław, więc nawet nie chciała wiedzieć. Do Warszawy nie miała po co wracać, bo budynek, w którym przyszła na świat, został zrównany z ziemią. Kiedy we Wrocławiu przydzielili jej współlokatora, przeżyła szok. Zdążyła już, rzecz jasna, ochłonąć, ale bała się, że kiedyś pójdzie za niego siedzieć. Czuliła, że każde następne załamanie spowodowane permanentną bezsennością może sprawić, że w końcu pociągnie za ten cholerny spust.

Nachyliła się nad zlewem, odkręciła zimną wodę i przeemyła twarz. Sięgnęła do niewielkiej skrytki, którą znalazła za kaflami, zanim ten stary menel się do niej wprowadził. Odchyliła płytkę, wyjęła zza niej klucz i otworzyła kłódkę zamocowaną przy szafce. Musiała mieć pewność, że pijak nie obrzyga jej rzeczy, na które tak ciężko pracowała.

Z szafki wyciągnęła watę i uformowała z niej dwie kulki. Wepchnęła po jednej do każdego ucha. Zamknęła

drzwiczki, schowała klucz za kafelkiem i spojrzała na siebie w lustrze. Była blada, rozczochrana, pod oczami miała sińce, z których każdy przypominał staw na pergoli pod Halą Ludową*. A do tego była, jak to mawiała jej ciotka, starą panną. Wata wystająca z uszu doskonale podsumowywała obraz nędzy i rozpacz, który sobą prezentowała. Szkoda, że nie tłumiała jej wewnętrznego głosu, a jedynie chrapanie zza ściany.

Zrezygnowana wróciła do łóżka. Nakryła się po brodę i zagłębiła się w świat marzeń, w których była wolna i wyspana.

* Hala Stulecia (wszystkie przypisy pochodzą od autorki).

Stukanie w klawisze maszyn do pisania było słyhać już z półpiętra kamienicy przy Świerczewskiego, ale dopiero po otwarciu drzwi redakcji mieszczącej się na trzecim piętrze robiło się naprawdę głośno.

– Cześć, Marylka – usłyszała za plecami.

Obejrzała się niedbale i rzuciła zwiewne „cześć” przez ramię. Nawet nie wiedziała, kto do niej mówił. Zazwyczaj wszyscy tu mieli nosy wlepione w kartki. Nie widzieli i nie słyszeli niczego poza własnymi myślami. Układali eleganckie zdania, które miały podkolorować szarą rzeczywistość, wychwalać komunizm i przy okazji dostarczyć wrocławianom jakkolwiek użytecznej wiedzy. Kombinowali, jak napisać artykuł, by przekaz był jasny dla zjadaczy chleba i nie drażnił cenzora.

Niektórzy zaczynali zmianę wcześniej. Niektórzy dopiero swoją kończyli. Musieli pracować w ten sposób, bo „Kurier Ziem Odzyskanych” ukazywał się co rano od czterdziestego ósmego roku. Mieszkańcy Wrocławia sięgali po niego, chcąc sprawdzić, co gra się w kinie lub teatrze, który z partyjnych ważniaków odwiedzi wkrótce miasto, albo żeby poznać przepis na kruche ciastka. Mogli tu znaleźć wszystko, od rzeczy przydatnych po miejskie plotki. Tymi ostatnimi zajmowała się Maryla i szczerze tego nie cierpiała.

– Redaktorko Major? O tej porze do pracy... Prawdziwy luksus! Już dawno po kolegium! – doszło znów zza jej pleców, tym razem głośno i wyraźnie. Nie miała wątpliwości, że to jej szef słuźbista, redaktor Szczurek. Zamiast w gabinecie raczyć się ulubioną parzoną kawą, wśliznął się do pokoju redaktorów, by szukać zaczepki.

– Przepraszam – powiedziała, tym razem odwracając się i nie szczędząc niewinnego uśmiechu. – Nie mogłam zasnąć przez tego mojego sąsiada – wytłumaczyła, mimowolnie trzepocąc rzęsami.

– Na niewyspaną nie wyglądacie.

– Nie wyglądam... wyglądamy. – Zmrużyła oczy. Nienawidziła tego słuźbowego żargonu. – Ale jakby mnie redaktor zobaczył kilka godzin temu, zanim – pokazała na swoją twarz i włosy – to wszystko wróciło do normy...

Redaktor Szczurek natarł na nią, stając z nią oko w oko. Jego grube jak denka kufli do piwa szkła niemal dotknęły jej starannie wyczesanych czarnym tuszem rzęs.

– Wy się sąsiadem nie zasłaniajcie – syknął. – Gdybyście nie przyszli do mnie po wstawiennictwo, mielibyście ich więcej na takim metrażu – przypomniał jej. Na dobry poranek zapewne.

– Tak jest – odparła, rozumiejąc, że usprawiedliwianie się nie ma sensu. Schyliła głowę, by nie musieć oglądać z bliska jego niezwykle pasującej do nazwiska twarzy.

– Chociaż tych waszych dyrdymałów nikt nie czyta, jutro macie się stawić na kolegium, bo inaczej pożegnacie się z posadą. A to nielegalne – podkreślił i pogroził jej palcem.

– Nielegalne – powtórzyła.

– I pójdziecie robić w fabryce – dorzucił.

– Tak, w fabryce, tak. – Skinęła głową. – Jutro przyjdę na czas – zapewniła.

Powoli odsunął się od niej, a ona wreszcie odważyła się spojrzeć mu w... okulary.

– No – skwitował i odszedł niespiesznie.

Usiadła przy swoim biurku. Położyła na kolanach małą beżową torebkę, kurczowo zaciskając palce na rączkach. „Oddychaj” – powtarzała w głowie, panicznie starając się nie wyobrażać sobie zbyt intensywnie, jak koślawe paluchy Szczurka łamią się pod naporem rzuconej na jego biurko maszyny Rheinmetall.

– Co tam, Marylka? – przyjazny, lekko nosowy głos Ignacego wyrwał ją z odrętwienia. – Stary nie w sosie?

– A kiedy on jest w sosie, Ignasiu – burknęła.

– Było mu powiedzieć, że rozprawa mocno się przeciągnęła – zasugerował, chrząknął i przecesał palcami wąsy. – W końcu sądy to twoja działka.

– Nie umiem kłamać – skłamała. O ironio.

– Każda baba umie kłamać jak z nut – podsumował ją kolega.

Spojrzała na niego zmieszana i z nieskrywanym wyrzutem, ale się tym nie przejął. Wręcz przeciwnie, zaśmiał się, dumny ze swojej puenty, i wrócił do czyszczenia soczewek w długich obiektywach. Zapewne przygotowywał je na mecz Okręgowego Wojskowego Klubu Sportowego, na który wybierał się wieczorem.

Marylka wyjęła z torebki gruby notes. Otworzyła go na ostatniej zapisanej stronie i westchnęła cicho. Przeczytała notatki sporządzone poprzedniego dnia w sądzie i brudnopis z wstępną wersją artykułu, po czym wkręciła stronę w maszynę do pisania.

– Cienki ten tekst... – wymamrotał Szczurek. – Niedobrze, niedobrze – dodał pod nosem, nie odrywając go od kartki.

Jego wąskie usta poruszały się bezgłośnie, podczas gdy karpas oczka wodziły po zdaniach spisanych na kartce. Leżący obok w popielniczce papieros wciąż dymił, a naczelny od czasu do czasu sięgał po niego i się zaciągał.

Maryla nie przejmowała się nim specjalnie. Wszystkie jej artykuły trafiały prosto na jego biurko i nigdy jeszcze o żadnym nie usłyszała, że jest dobry. Pewnie dlatego, że była kobietą i relacjonowała sądowe dramaty. Szef wolałby w roli sprawozdawcy jakiegoś faceta, ale wszyscy mieli już przydziały. Zdawał się ignorować fakt, że cała ta rubryka nadawała się do kosza na śmieci. Nie dało się stworzyć dobrego tekstu, bo ludzie sądzili się o wszystko i o nic. Wartościowe artykuły pisywała przed wojną. Ale te czasy odeszły w niepamięć.

– Co trzeba dodać? – zapytała zniecierpliwiona. Uznała, że najwyższa pora na ucieczkę z zadymionego gabinetu naczelnego. Choć sama czasem paliła, nie lubiła, gdy ktoś kurzył w ciasnym pomieszczeniu i nigdy go nie wietrzył.

– Piszecie mi tu, że Cygan... jest niewinny.

– Tak uznał sąd – podkreśliła.

– Dobrze – przytaknął stanowczo. – Ale nie możemy zapominać, że to Cygan.

Maryla pokręciła głową.

– No i co z tego?

– To, że my lubić Cygana za bardzo nie powinniśmy. Może... – Zastanowił się chwilę. – Dodajmy, że to na pewno złodziej. Bo jak Cygan, to pewnie nie raz coś ukradł – zaproponował bez ogródek. – Tylko akurat nie tym razem i dlatego sąd uznał go za niewinnego – dodał dumny z siebie Szczurek. Odchylił się na kręconym fotelu. Mebel skrzypnął przy tym nieprzyjemnie.

– Ale w tekście stoi, że nie zwinął tego królika – zaoponowała Maryla. – W dodatku takie właśnie stereotypowe

myślenie doprowadziło go przed sąd. Gdyby nie donos, rozprawy by nie było. On tylko grał na skrzypcach tam, gdzie ktoś zwędził zwierzę – wyjaśniła.

– I to znaczy, że nigdy niczego nie ukradł? – pytanie naczelnego brzmiało raczej jak sugestia, w dodatku z nutą nacisku.

Marylka przestąpiła z nogi na nogę. Co miała mu powiedzieć? Poza tym, co bardzo chciała, oczywiście. A mianowicie, że jest idiotą.

– Nie mamy na to dowodów – upierała się. – Po to są sądy, by coś udowodnić...

– Co wy z tym Cyganem, wódkę piliście? – naciskał Szczurek. – Sąd udowodnił, że nie ukradł królika. To nie dowodzi, że nie jest złodziejem!

– Kiedy ja piszę relację z tej konkretnej rozprawy. A że wódki z Cyganem nie piłam, to nie wiem, jak na nią zarabia – podniosła lekko głos. – Z całym szacunkiem – dodała ciszej.

Szczurek wpatrywał się w nią, spowity dymem ze śmierdzącego papierosa o wdzięcznej nazwie „Wolność”. Wszyscy wycierali sobie ryje tym słowem, plując nim na lewo i prawo, podczas gdy nikt chyba nie miał wątpliwości, że nic podobnego w Polsce Ludowej nie istnieje. A już na pewno nie wolność słowa i nie w tym dzienniku.

– Mam rozumieć, że odmawiacie wykonania polecenia służbowego...

– Napiszmy, że jest... analfabeta – przerwała mu. – Na to nie trzeba dowodów, a teraz każdy chce się kształcić. Piśmiennictwo i czytelnictwo jest w modzie. – Z całych sił starała się go przekonać, że analfabetyzm zniechęci czytelników do niewinnego muzyka. Jak gdyby Polacy darzyli sympatią mniejszości etnicznej...

Szczurek nadal się w nią wpatrywał. Niezręczna cisza w oparach duszącego dymu „wolności” trwała może dziesięć

sekund, gdy naczelny niespodziewanie klasnął w dłoń. Maryla aż podskoczyła.

– To jest to! – wykrzyknął. – Dobrze kombinujecie, redaktorko Major. Analfabeta. Bo to na pewno analfabeta, nie ma co się oszukiwać. Jednak to wasze wojskowe nazwisko dodaje wam czasem inteligencji – zarechotał zadowolony.

Maryla zwęszyła dobry moment na ucieczkę.

– Mogę już iść? – odezwała się nieśmiało.

– Idźcie, idźcie. – Oddał jej kartkę. – Analfabeta, dobre!

Gdy wychodziła, fotel Szczurka znów okropnie zapiszczał. Przyspieszyła kroku i pobiegła do swojego biurka. Chciała mieć to jak najszybciej za sobą.

Usiadła przed maszyną i złożyła dłonie jak do modlitwy. Oparła na nich brodę i głęboko odetchnęła. Kiedy skończą się te czasy... Kiedy znów gazeta będzie do czytania, a nie tylko do podcierania tyłka.

– Nie zadrećzaj się – usłyszała miły, ciepły głos. Mężczyzna przysiadł się do niej.

– Łatwo ci mówić – odpowiedziała przez zaciśnięte zęby, wciąż podpierając brodę rękami.

– Tak sądzisz? – wyszeptał konspiracyjnie.

– Przepraszam – stęknęła, choć właśnie tak uważała. Jego propagandowe teksty podbijały serca dolnośląskich partyjniaków.

– O czym piszesz? – zniżył głos, przysunął się i spojrzał jej prosto w oczy. Miał przy tym rozbajający uśmiech, niczym przedwojenna gwiazda kina. Maślanym spojrzeniem „wpijał się” w nią tak, że nie umiała odwrócić wzroku od jego twarzy. Uwielbiała jego towarzystwo, choć z poglądami, jakie serwował w tekstach, było jej bardzo nie po drodze.

– Starszy facet usłyszał, jak jego sąsiadka lamentuje, że jej królika ukradli. Zbiegł po schodach i pod bramą znalazł grajka, Cygana. Jeszcze dzieciaka. Od razu oskarżył go o tę

kradzież, zaprowadził prosto na policję, a ci go aresztowali. Bez pytań, bez śledztwa – opowiadała przejęta. – Tadziu, kto dziś jeszcze trzyma króliki w mieszkaniu we Wrocławiu? – Nie mogła się nadziwić. – Mamy połowę lat pięćdziesiątych!

Tadeusz otworzył szeroko oczy. Błysnęły rozświetlone wiosennym słońcem, które zajrzało do redakcji przez brudne okno. Promień musnął jeszcze jedną rzecz – obrączkę na jego palcu. Ten błysk zdołała jednak zignorować. Zaśmiał się. Ubawiła go jej historia. Niestety właśnie po to je pisała. Żeby ktoś się pośmiał.

– Co? – Zmarszczyła czoło, teatralnie się dąsając.

– Puścili Cygana wolno? – zapytał.

– No tak, bo nic nie zrobił – odparła. – Nie dość, że się nacierpiał i wystraszył, to jeszcze w gazecie będzie analfabeta. Nawet jeśli nim nie jest.

– I to cię tak trapi? Sprawiedliwości stało się zadość. Dobrze, że nie zrobiłaś z niego złodzieja – dodał, nieświadomy tego, że o mały włos tak właśnie by się stało.

Znów westchnęła.

– W jakim my świecie żyjemy? – wyszeptwała niemal bezgłośnie.

Jego uśmiech nieco zbladł. Błysk w oku też przygasł. Dyskretnie położył dłoń na jej dłoni. Niestety, tę z obrączką.

– Przecież jak zawsze podpiszesz tekst jako „Em-Em”. I od razu robi ci się lżej – skwitował. – Co złego, to nie my – dorzucił. Wstał i odszedł w stronę swojego biurka, na którym czekał na niego niedokończony, wielki artykuł, „czerwony”, aż biło po oczach.

Spojrzała na swoją kartkę zapisaną w trzech czwartych. Rzeczywiście, nigdy nie podpisywała artykułów do rubryki o najdurniejszej nazwie na wydawniczym rynku: „Tak, wysoki sędzie”. Jedyne, pod czym umieściłaby swoje nazwisko w tym szmatławcu, to przepis na murzynka.



O tej porze roku róg Barlickiego i Nowowiejskiej bywał najbardziej kolorowym miejscem w okolicy. Jabłka, gruszki, pory, marchewki czy buraki wystawione przed zieloniakiem w drewnianych skrzyniach nieśmiało urozmaicały szary krajobraz Olbina. Wkrótce miały się tu pojawić pierwsze nowalijki, zupełnie już łamiące szarą monotonię. Maryla wybrała owoce i warzywa.

– Ile to będzie? – mruknęła pod nosem do młodej ekspedientki. Dziewczyna wpisała ceny do zeszytu i podliczyła kwoty ze słupka.

– Pięć dwadzieścia – kwęknęła. Widocznie ten dzień też nie należał do jej ulubionych.

Dziennikarka sięgnęła do portmonetki na zatrask, która powoli pruća się i wymagała podmiany. Wydobyła z niej aluminiowe złotówki i grosiki, położyła na ladzie i zgarnęła zakupy. Poupychała jabłka, marchew i jajka po przepastnych kieszeniach prochowca. Zazwyczaj przychodziła tu z koszem, ale dziś wyskoczyła z tramwaju i od razu przybiegła do sklepiku. Czuła, że jeśli wstąpiłaby do domu po kosz, zostałyby bez kolacji. Nic by jej już nie wyгнаło na dwór. Była tak zmęczona, że ledwo trzymała się na nogach. Zastanawiała się tylko, czy chleb, który

miała zamiar za chwilę dokupić, zmieści się do jej niewielkiej bądź co bądź torebki.

– Słyszała pani? – zagaiła ją nagle ekspedientka.

– O czym? – udała zainteresowaną. Straganiarskie plotki średnio ją interesowały.

– Nowakowska padła.

– Umarła, pani Krysiu, umarła – poprawiła ją Maryla. – Słyszałam – dodała.

– E tam „umarła”. Padła, gadzina. Przecież ona donosiła do ubeków. – Ostatnie słowa całkowicie wyciszyła i jedynie z ruchu jej warg można się było domyślić, co mówi.

Jako dziennikarka Maryla nigdy nie traciła instynktu samozachowawczego. Wiedziała, które kwestie powinna przemilczeć, by nie spotkały jej, delikatnie rzecz ujmując, nieprzyjemności.

– Być może, być może nie. Nie wiemy na pewno – zbyła ją.

– Oj, zobaczy pani. UB przestanie tu krążyć.

– Oni nigdy nie przestają – odparła Maryla i się wzdrygnęła. Nieprzyjemny dreszcz przebiegł po jej ciele. W głębi duszy marzyła, jak większość jej znajomych, by cały ten kanał w końcu szlag trafił. – A pani niech lepiej uważa, komu mówi takie rzeczy, bo jeszcze zapukają do pani – ostrzegła ją.

– Wiem przecież, ja tu wszystkich znam – zapewniła sprzedawczyni.

– Nie wątpię. – Maryla uśmiechnęła się sztucznie. Machnęła na do widzenia i wyszła ze sklepu, powłócząc nogami.

Rozmowa z panną Krysią z zieleniaka nie nastroiła jej najlepiej. Za dwa dni czekał ją trudny dzień w pracy. Zbliżała się rocznica śmierci największego obok Hitlera potwora, który doprowadził jej kraj do moralnego, kulturalnego i gospodarczego upadku. To był zawsze trudny okres dla redaktorów. Choć w głębi radowali się tym, że Stalin „padł”,

jak by to ujęła panna Krysia, zmuszeni byli bić peany na łamach swoich dzienników, tygodników i miesięczników. A przecież wraz z rządami „uncle Joego”^{*} zdechło wszystko, co wartościowe, i jakoś nie chciało się odrodzić. To przez niego i jego kamratów sprzedawczyni z zieleniaka mogła w każdej chwili trafić do pierdła i nigdy z niego nie wyjść. I to za nieodpowiednie słowo o konfidentce, która bez wątpienia i z niekrytą radością donosiła, aż furczało.

Pogrążona w szarych jak Ołbin myślach Maryla po wejściu do kamienicy zatrzymała się przed schodami. Zdjęła buty i jak zawsze boso poczłapała na drugie piętro. W deszcz i śnieg, mróz i upał zawsze zdejmowała „słupki” i nie musząc się już przed nikim prężyć, zgarbiona docierała pod drzwi mieszkania. Choćby miała godzinami cerować rajstopy, wołała zapomnieć o tych koszmarnych butach od razu po wejściu do bramy. Musiała sobie sprawić nowe. Kiedyś...

Przekręciła klucz i pchnęła drzwi. Zatrzymały się tuż przed nią. Jej oczom ukazał się łańcuch.

– Nie, tylko nie to... – powiedziała dość głośno i nacisnęła na dzwonek. Raz, drugi, trzeci. – Skurwysyn – gorączkowała się. Już dawno miała odkręcić ten łańcuch, ale zawsze było coś ważniejszego, zupełnie jak z zakupem nowych butów. Ostatnią rzeczą, jakiej dziś pragnęła, była noc u ciotki – tej, która nazywała ją starą panną i nakłaniała do wstawienia anonsu matrymonialnego do „Kuriera”. Do Klary Zetkin** może nie było stąd szczególnie daleko, ale nie na tym polegał problem. Znów nerwowo nacisnęła na dzwonek.

W drzwiach mieszkania obok rozległ się szczeł zamka. Na korytarz wyszła sąsiadka z wiadrem na węgiel. Na jej

* Tak określała Stalina powojenna prasa zagraniczna, szczególnie aliancka.

** Ulica Daszyńskiego.

widok Marylę ogarnęły wyrzuty sumienia. Donka była Cyganką, a Maryla musiała dziś obrazić jednego z jej ludzi na łamach popularnego we Wrocławiu dziennika. Sąsiadka spojrzała na nią z ukosa, jakby wiedziała, co „przeskrobała” dziennikarka.

– Śpi? – zagaiła. – Cały dzień szalał. Wył i walił czymś w rury.

– Jeśli śpi, mam przekichane – jęknęła Maryla.

– Pani powinnaś ten łańcuch wykręcić. Z degeneratem nie ma rady – pouczyła ją sąsiadka.

Maryla zakryła oczy dłonią. Nie trzeba jej teraz było takich rad. Ale przecież nie pierwszy raz stała pod drzwiami własnego mieszkania, waląc w nie jak milicjant. Choć sąsiedzi się do tego przyzwyczaili, w tych czasach trudno było uniknąć skojarzeń, gdy ktoś tłukł się po klatce schodowej, głośnie pukając do drzwi.

– Ech... – Sąsiadka podźwignęła wiadro i ruszyła na dół po węgiel.

Maryla odczekała chwilę. Gdy echo kroków przestało być tak wyraźne, znów spróbowała. Walnęła trzy razy pięścią w drzwi.

– Panie Zdychu, niech pan otworzy! – krzyknęła. Dobrze, że na jej piętrze były tylko dwa mieszkania, bo na pewno ktoś w końcu nie wytrzymałby nerwowo. I tak miała wrażenie, że każdy mieszkaniec budynku stoi teraz przy judaszu. – Otwórz, ty stary menelu – huknęła w końcu.

Uderzyła w drzwi raz jeszcze, po czym opadła z sił. Wiedziała, że to na nic. Oparła łokieć o framugę. Psychiatra instruowała ją, że każdy wdech powinien kojarzyć się jej z czymś dobrym – wspomnieniem, zapachem albo kolorem. Trudno jej jednak było w tej sytuacji znaleźć szczęście, które mogłaby inhalować. Musiała się pogodzić z tym, że wyładuje u ciotki. Stary będzie spał do rana, a gdy wstanie,

ruszy po śniadanie w przezroczystej butelce. Flaszki wesoło zadzwonią w jego torbie. Potem wróci do domu, żeby rozpocząć codzienny bal. Ona zaś mogła się cieszyć tylko z tego, że nie musi spać pod chmurką. I to byłoby na tyle, bo niewygodny tapczan i śmierzący śpiwór, który ciotka targała ze sobą przez całą wojnę, były wystarczająco obrzydliwym zamiennikiem. Nie wspominając o tych ciężkich gatunkowo rozmowach, które zapewne ją czekały. Patrzyła tępym wzrokiem w wizjer, wyobrażając sobie, że ten skurwysyn jest po drugiej stronie. Żałowała, że w nocy nie pociągnęła za spust. Wiedziała, że Zdzisława nie ma za drzwiami, a jednak miała nadzieję, że w jej spojrzeniu widać było tęsknotę za niedokonanym morderstwem.

Naraz usłyszała hałas. Coś zazgrzytało, a potem zaczęło przypominać zbliżające się kroki. Z początku wydawało się jej, że ma szansę na noc we własnym łóżku. Ale po chwili zorientowała się, że dźwięk nie dobiega z mieszania. To były kroki.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



@wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

ŚWIAT BEZWZGLĘDNYCH AGENTÓW BEZPIEKI OKRUTNA ZBRODNIĄ WE WROCŁAWIU LAT 50.

Po ciężkiej nocy i jeszcze cięższym dniu pracująca w dzienniku prasowym Maryla chce w końcu odpocząć. Wieczór zmienia bieg, gdy jej sąsiadka prosi o pomoc. W piwnicznym zsywie spod węgla wystaje dziecięca rączka. Podczas gdy w oczekiwaniu na milicję Maryla ratuje dziecko, zauważa, że mała ściska w dłoni kartkę.

Dziennikarka zabiera dziewczynkę z miejsca zbrodni. Wkrótce ta decyzja odbija się na jej życiu, w które z impetem wkracza agent bezpieczeństwa. Maryla rozpoznaje w nim kolegę z czasów wojny, z którym łączy ją wiele tajemnic i mroczna przeszłość.

Wrocław we wczesnym PRL-u to doskonała sceneria dla zbrodni. Szagdaj wiernie oddaje realia epoki, inspirując się prawdziwymi wydarzeniami. Uczta dla fanów kryminatu.

Przemysław Semczuk
dziennikarz, pisarz, znawca historii PRL




bukowylas.pl
Cena: 42,90 zł